

Śmieszne historie

Wrześniowe polowania na kuropatwy bardzo często odbywają się przy ślicznej, słonecznej, już jesiennej, a jednocześnie letniej pogodzie. Upały potrafią być nie do zniesienia, jak w lipcu. Chodzenie wtedy po wysuszonych kartofliskach, bez skrawka cienia, po trzech, czterech godzinach potrafi całkowicie wykończyć.

W taką właśnie niedzielę pojechałem na kury do Białobrzegów razem z Ludwikiem Kosmałem, jego żoną, znaną aktorką Basią Brylską i ich paroletnią córeczką też Basią. Około południa zrobiliśmy sobie przerwę w zacisznym sadzie, których w rejonie Grójca jest bardzo dużo. Wspaniały cień, równie wspaniałe owoce, a szczególnie gruszki. Zrobiliśmy sobie mały piknik - kanapki, herbata. Po godzinnym odpoczynku ruszyliśmy z Ludwikiem dalej, a jego panie zostały w sadzie, zostawiliśmy tam też po kilkanaście sztuk strzelonych już kuropatw. Po dwóch godzinach doskwierający upał zmusił nas do przerywania polowania i powrotu do sadu, gdzie miło spędziliśmy resztę dnia. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że wszystkie pozostawione wcześniej kury są ślicznie oskubane. Nie powiem, żebym nie był zadowolony z tego powodu. Wracaliśmy do Warszawy dość wcześnie, bo Ludwik z żoną mieli jakieś umówione spotkanie i trochę się już spieszyli. Wysadzili mnie pod swoim domem, skąd miałem autobus do siebie. Niedziela, popołudnie, w autobusie dosyć luźno. Stałem przy oknie w stroju nie całkiem miejskim, na trokach miałem kuropatwy, a większość z nich była już oskubana. Nie robiły imponującego wrażenia pod względem wielkości, kuropatwa w pierzu wydaje się znacznie większa. Podchodzi do mnie jeden z pasażerów i pyta – A gdzie to, szanowny panie, takie gołe wróble latają? Pół autobusu się śmiało, a ja byłem zły.

Taka sama upalna wrześniowa niedziela, wyruszyliśmy na kuropatwy z Alkiem Malinowem i jego też polującą żoną Krysią. Była to druga połowa lat 70-tych, w sklepach pustki, w sklepach myśliwskich tak samo. Zdobycie amunicji pierwszego gatunku, należało do rzeczy niemalże niemożliwych. Alek służbowo był wcześniej we Francji i przywiózł stamtąd wspaniałe naboje. Teraz jest to trudne do uwierzenia, ale tak wtedy było. Ja miałem dubeltówkę kaliber dwanaście, a Alek strzelał dwudziestką, ale ten drobny szczegół umknął naszej uwadze. Na środku olbrzymiego pola rosła pojedyncza grusza obwieszona wspaniałymi owocami. W jej cieniu zrobiliśmy sobie przerwę, pod jej koniec sok gruszkowy ściekał nam aż do łokci. Poprosiłem Alka o pożyczenie mi paru naboí, bo chciałem zobaczyć, jak bije prawdziwa amunicja. Wstaliśmy spod drzewa, ruszyliśmy w najbliższe kartofliska. Złamałem broń, wrzuciłem nabój i w tym momencie zorientowałem się, co zrobiłem. Nabój od dwudziestki wpadł

głęboko do lufy i już poza komorą nabożową zaklinował się. Nie pomagały żadne próby wydobywania go, ani stukanie, ani wstrząsanie, ani dmuchanie, stałem się po prostu bezpieczny dla kuropatw. Musiałem poszukać drzewa z długimi, prostymi gałązkami, zrobiłem coś w rodzaju wycioru i takim kijkiem wybiłem nabój z lufy. Czasami trochę sprytu na polowaniu też się przydaje.

więcej w *Merkuryszu Człuchowskim* 2-3 (56-57) 2008